TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
ARP
Zofja Bohdanowiczowa
Stefan Mierzwa
Józef Miłobędzki
Stanisław Stroński
Stanisław Strzetelski
Janusz Wedow
Kazimierz Wierzyński

Vol. 2 Nr. 35 (87) Nowy Jork, 3 września — New York, 21, N. Y., September 3rd, 1944 Cena 15 ct.

WARSZAWA



W PIĄTĄ ROCZNICĘ PIERWSZEJ OBRONY WARSZAWY
WARSZAWA ZNÓW WALCZY CAŁA, ZNÓW W GRUZ
PADAJĄ JEJ POMNIKI I GINĄ TYSIĄCE JEJ SYNÓW

Miesiąc blisko trwa nadludzka walka Warszawy z Niemcami, od miesiąca codziennie na każdej ulicy, przy każdym niemal domu biją się o wolność wszyscy zdolni do walki mieszkańcy Warszawy — biją się do ostatniego tchu, do ostatniego naboju, głodni i spragnieni i jak pięć lat temu samotni. Tragedja Warszawy jest szczytem męczeństwa w tej wojnie, ale bohaterstwo jej jest też szczytem najwyższym na jaki wzniósł się ludzki duch niepodległy. Potęgujące się coraz głośniej i zewsząd wołanie o pomoc dla Warszawy jest wezwaniem nietylko na ratunek ludzi, ale na ratunek wielkiej idei, na ratunek samej wolności.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

BIBLJA POLSKA

Majorowi Józefowi Czapskiemu

To nie są wiersze, poematy
I polonezy karmazynów:
To biblja, w której polskie światy
Z ojców przenoszą się na synów.

"Dziady", "Irydjon", "Pan Tadeusz"
Lub "Kordjan" — policz owe dzieła
I na pokoleń śpiew je przełóż —
Co w nich ci zagra? — Nie zginęła.

Sułkowski, który padł w Kairze,
Dlatego znów się śnił piechurom
W Tobruku nocą. On tam krzyże
Ustawiał swoim sobowtórom.

Dlatego żadnej skazy niema
W Norwida twardym, dumnym łuku,
Pod którym przeszedł pogrzeb Bema
I rytmem grzmiał, jak w armat huku.

Dlatego oczy napełnione
Dziecięcym i anielskim żalem
W ojczystą obracając stronę
Eloe marła za Uralem.

Sybirski jeniec żył udręką,
By na wolności z krwi i dymu
Światu zwycięską podać ręką
Z Monte Cassino klucz do Rzymu.

Dlatego niema w tem fantazji.
To nie poezja i dramaty —
Cała Europa, trochę Azji,
Ach, jakże nasze, polskie światy!

Żołnierz z nich sobie tekst wybierał,
Gdy dla ojczyzny lata młode
Na froncie wszystkich lądów sterał
Albo z okrętem szedł pod wodę.

Bo żołnierz powstał z biblji starej
I sercem ją ogarnął bystrem
I poowijał ją w sztandary
I z takim szedł się bić tornistrem.

Więc to nie wiersze ani słowa,
Relikwje marzeń i pamiątek:
Tak jak w Genezis tam się chowa
Naszych od Boga sił początek.

Wystarczy zdjąć z nich znak symboli,
Jak okiennice z okien domu,
A ujrzysz wszystko co cię boli,
Co kochasz, pieścisz pokryjomu.

I w burzy, która śmiercią wieje,
Która porwała cię zamłodu,
Zobaczysz wolność i nadzieję
Z tych ksiąg pielgrzymstwa i narodu.

ARP

MONTE CASSINO TO NIE SAMOSIERRA

(PRZEDRUK Z "BIAŁEGO ORŁA" ORGANU II KORPUSU)

Stosunek, żołnierza, który walczył o zdobycie twierdzy Monte Cassino, do opisującego to zdarzenie tak nieprzeciętne, a nasuwające tyle refleksji, będzie zawsze krytyczny. Opisy te wydawać się będą uczestnikom wydarzeń niedość ściśle, zbyt jednostronne, nie wnikające dostatecznie w dramatyczną zawiłość walki, która rozegrała się w gardzieli górskiej na wysokości kilkuset metrów, a później przeniosła się na okoliczne wzgórza, doliny i miejscowości. Tylko bezpośredni widz tych zmagań zażartych i bezlitosnych zdoła odtworzyć ich grozę, spotęgowaną jeszcze surowością skalistego, odpychającego terenu.

Zwykły banał pisarski o "bohaterstwie", "ofiarności", "miłości ojczyzny" wyda się w obliczu tej bitwy irytującą deklamacją i sponiewieraniem dokonango wysiłku. Patos ubrany w najlepszą nawet szatę literacką brzmieć będzie pusto i fałszywie. Żołnierz nie chce ani jednego, ani drugiego. Pod wpływem tego, co przeżył i przewyciężył, rodzi się w nim nastrój, który oddała może najlepiej zwrotka najdumniejszej naszej pieśni żołnierskiej: "Nie trzeba nam od was uznania"...

Przychodzą chwile, kiedy istotnie komplementy stają się najzupełniej niestosowne i rażą nietaktem. Bitwy o Monte Cassino, a dalej o Piedimonte stworzyły taką właśnie sytuację. Nie trzeba ich uczestnikom słów uznania, pragną oni natomiast zrozumienia przyczyn, które skłoniły ich do rzucenia się w wir tej krwawej walki oraz jej celu istotnego i prawdziwego.

Na to, by zrozumieć ogrom wysiłku włożonego w tę bitwę, trzeba było przynajmniej dokładnie zapoznać się z terenem walki. Nie pojmie tego wysiłku ten, kto nie przebył słynnej Cavendish Road, by dostać się na pole walki, kto nie przeszedł tej prawdziwej doliny śmierci między Widmem a górą 593, kto nie spojrzał na panujący nad tym całym terenem szczyt Monte Cairo, kto nie zajrzał do gęsto rozsianych na zboczach wzgórz bunkrów niemieckich, kto nie widział rozbitych lub unieszkodliwionych czołgów amerykańskich i nowozelandzkich z poprzednich ofensyw, a naszych z ostatniej, wspinających się zuchwale na zbocza, skąd raził je piekielny ogień nieprzyjaciela.

Nie wniknie w dramat boju pod Monte Cassinoi ten, kto nie poczuł zapachu tej bitwy, nie ujrzał ciał poległych naszych chłopców zastygłych w marszu, który dla nich był marszem do Polski, kto nie zetknął się z rannymi w szpitalach oraz nie widział trudu i rozgorączkowania na twarzach uczestników bitew, W tych bowiem obrazach malowała się wojna, prawdziwa wojna nowoczesna, brutalna i zmechanizowana, o której lekko, powierzchownie z łezką sentymentu, jak o jeszcze jednym wyczynie bohaterskich Polaków pisać nie wolno i nie podobna. Bitwa o twierdzę Monte Casino, jak i następna walka o Piedimonte należeć będą do najpoważniejszych rozdziałów tej wojny aż nadto ponurej. Wszystko też od bitew tych wieje powagą i dostojeństwem włożonego w zmagania wysiłku dowódców i wykonawców.

Walki obfitowały w przykłady nieprzeciętnego bohaterstwa. Oczywiście. Bohaterstwo lgnie do naszego żołnierza nieodłącznie. Mnożyć się będą opisy tej epopei, w miarę jak napływać będą wspomnienia z różnych odcinków walki. Piszącemu te słowa najlepiej znane są szczegóły bitwy o Piedimonte. drugiej po Monte



Rys. Zygmunta Toporskiego

Ruiny klasztoru

Cassino zapory w niemieckim systemie obronnym na tym terenie. Dzięki swemu położeniu również u stop Monte Cairo, dzięki panowaniu nad ważnym odcinkiem doliny Liri z lotniskiem w Aquino, Piedimonte stanowiło prawdziwę twierdzę, bronioną za ciekle przez Niemców przez kilka dni po oddaniu Monte Cassino. Grupa uderzeniowa ppłk B. opanowała miasto w pierwszym dniu natarcia (20.V.) wdarła się na zbocza sąsiedniego wzgórza 533, otrzymała wszakże ze względu na ogólną sytuację na froncie rozkaz wycofania się do wschodniej części Piedimonte. Tej wschodniej części miasta uczepiła się czołgami jak pazurami i już jej nie oddała walcząc oko w oko przez kilka dni z wrogiem ukrytym w bunkrach w odległości nieraz kilkunastu metrów. W tych to walkach zginął dca odcinka pod Piedimonte kpt. Kuczuk-Pilecki w chwili, gdy usiłował ratować rannych. Na tym samym odcinku załogi nasze nie chciały mimo rozkazów opuścić i zniszczyć czołgów, tak wielka była zaciętość tego wojska i tak silne jego przywiązanie do sprzętu bojowego.

Ale może nie tyle na owe dowody bohaterstwa należy w walkach o Monte Cassino czy Piedimonte położyć główny nacisk, co na wykazaną przez żołnierza niezrównaną dozę umiejętności i staranności ściśle fachowej, jakiej wymaga współczesna zmechanizowana wojna, na jego wolę podołania trudnościom techniczno - wojennym na jego upór zwycięstwa. Walki o Monte Cassino i o Piedimonte nie były improwizacjami i nie były krótkotrwałymi porywami, ale wynikiem gruntownej, przemyślanej pracy dokonanej na wszystkich szczeblach korpusu.

Badacz tej bitwy nieraz będzie zastanawiał się, tak jak my już dziś zastanawiamy się, czy wszystko to było możliwe? Czy było możliwe doprowadzenie wojsk na stanowiska na oczach nieprzyjaciela? Czy było możliwe obsadzenie tych stanowisk w skałach na wysokości kilkuset metrów, wprowadzenie na tę wysokość czołgów wąską, wykutą w skale drogą Cavendish, prowadzącą nad stromą przepaścią? Czy było możliwe w ogóle zdobycie i opanowanie tych wzgórz najeżonych nieprzyjacielskimi bunkrami, z rozsianymi wszędzie minami, gdzie za każdym kamieniem, za każdą wklęsłością mogła kryć się zasadzka?

Wszystko to wyda się nam możliwe wtedy, jeżeli widzieć będziemy w bitwie wkład nie tylko bohaterstwa, ale i skupionej wytężonej woli. Dowody tej woli musieli dać nie tylko bezpośredni uczestnicy walki, ale i ci, którzy pracą swą walkę tę podtrzymywali. Dla przykładu należy wskazać— choć o tym często mówi się w oddziałach — na pracę kierowców i to nie tylko kierowców sprzętu bojowego, czołgów, samochodów pancernych, ciągników dział, ale także wozów z zaopatrzeniem, ambulansów itd. Pełnili oni swą służbę w warunkach nad wyraz ciężkich, zazwyczaj w nocy, po ciemku, na fatalnych drogach, pod obstrzałem nieprzyjaciela. A przecież nie zdarzył się wypadek— jak stwierdzali lekarze — by kierowca opuścił wóz ambulansowy lub nawet przyśpieszał pd ogniem jazdę, gdy miał rozkaz wolnego posuwania się ze względu na stan rannych.

We wszystkich tych objawach trzeba istotnie widzieć nie tylko przykłady ambicji żołnierskiej, ale przede wszystkim woli. Monte Cassino nie było wyrazem słomianego ognia, o który tak często i niesłusznie posądzano Polaków, ale przeciwnie — ich uporu i charakteru.

Bitwy o Monte Cassino i o Piedimonte prowadzone były dlatego z tak wyraźnie zarysowaną i świadomią wolą, gdż były wyrazem dążenia do pewnego celu bardziej ogólnego, przekraczającego znaczenie frontu we Włoszech.

Nikt nie wydobyłby z żołnierza naszego uporu i woli, gdyby nie przekonanie żołnierza, że bitwa ta jest potrzebna, konieczna dla naszej sprawy.

Uczestnik walk pod Monte Cassino nie chciałby, by jego czyn ktokolwiek zamierzał potraktować zaledwie jak nową Samossierrę, wspaniałą szarżę, która prócz sławy żołnierskiej i wzbudzenia rycerskich tradycji w narodzie dała nam tak mało. Dziś, a zwłaszcza w tej wojnie, nie potrzebujemy już legitymować się bohaterstwem naszego narodu. Nie potrzebujemy demonstrować wartości żołnierza polskiego, którego cnoty ocenił nawet wrog. Natomiast musimy wykazywać zapominającemu światu, że nie słabnie nasza wola osiągnięcia na drodze walki wszystkich naszych politycznych celów, że nic nie zdoła nas powstrzymać w dążeniu do takiej Polski, jaką my chcemy mieć, a nie takiej, jaką nam ktoś pragnie urządzić zależnie od takich, czy innych konjunktur politycznych.

I to jest sens moralny tych walk, tajemnica zaciętości uporu i woli ich uczestników. Wyraził tę prawdę najprościej jeden z szeregowych, gdy powiedział: "Położenie Polski jest dziś tak ciężkie, że Monte Cassino musi być przez nas zdobyte".

Żołnierz 2 Polskiego Korpusu bijąc się o wzgórza Widma 593, 569, St. Angela, o Mass Albanetta, o ruiny Klasztoru, o Passo Corno i o Piedimonte, walczył nie o sławę, ale o cele polityczne. Chciał siłą swego

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"



Generał Anders na tle ruin klasztoru Monte Cassino

uderzenia i wielkością swoich zwycięstw zaćmić słabość naszych osiągnięć politycznych. Bił się dlatego, by czyn jego orężny został przekuty na broń polityczną. I takiego też stosunku domaga się do swego nadludzkiego wysiłku.

Polityka do wojska nie należy. Nie należy nawet do niego, słusznie czy niesłusznie, propaganda na zewnątrz. Inne, nie wojskowe czynniki powołane są do wytłumaczenia światu, jaki był sens bitew u podnóża Monte Cairo. Należy mniemać, że propaganda ta potrafi uderzyć we właściwy ton, że będzie odbiciem życzeń żołnierza, a nie takich czy innych względów taktycznych.

Piszemy tak szczerze, gdyż nie zawsze propaganda na zewnątrz miała szczęśliwą rękę. Wobec krwawej i nieprzerwanej ofiary kraju wywoływaliśmy zazwyczaj u obcych zamiast podziwu uczucie litości i to tak dalece, że nawet życzliwi nam cudzoziemcy zaczęli wskazywać, czy jest rzeczą słuszną, by naród nasz narażał się na tego rodzaju "niepotrzebne wyrzynanie." Dopiero w ostatnich czasach zaczęliśmy większy kłaść nacisk na fakt, że walka nasza w kraju jest wyrazem obmyślonego działania podziemnej organizacji bojowej.

Czasy obecne nie mają uznania dla nieświadomych poczynań. Baczyć też należy, by bitwy o Monte Cassino i o Piedimonte nie zostały zrozumiane jako wyrazy zapału bohaterskiego lecz lekkomyślnego i nieświadomego narodu, by międzynarodowe pięknoduchy nie poczęły tłómaczyć napięcia tych walk naszym brakiem kultury jako że w mniemaniu tych czynników tylko naród dostatecznie dziki może zdobyć się na takie natarcia, na taką furję bojową.

Naród nasz nie jest dziki, należy raczej do nadmiernie łagodnch. Ale naród nasz ma silną wolę życia, życia w wolności i we własnym domu. — Gdzie jest ten dom, o tym świadczy ewidencja tego niezwykłego wojska, niesamowite losy każdego żołnierza, nazwy oddziałów, które ten bój zażarty i krwawy stoczyły. Wola życia kazała im iść do walki mimo ciosów politycznych, którch nie oszczędzono im w czasach ostatnich, wola życia kazała im wydobyć z siebie ten kapitał uporu i charakteru — wola życia każe im w poległych kolegach widzieć nie ofiary tragedji, ale "kamienie rzucone na szaniec" nowej wolności, wola życia każe im wierzyć w przyszłość Polski wbrew wszystkiemu, a w razie potrzeby wbrew wszystkim. Monte Cassino wiarę tę znowu podniosło budząc wśród nas zaufanie — do siebie.

STANISŁAW STROŃSKI

SEDNO SPRAWY

Słyszy się nieednokrotnie, od połowy roku 1943, że Rząd ZSRR nie uznaje Rządu R. P. w Londynie. Głosy, odmawiające Rządowi Polskiemu prawa przedstawicielstwa narodu i państwa polskiego, odzywają się w oświadczeniach t. zw. Związku Patrjotów Polskich, działającego pod opieką władz rosyjskich, w pismach tego ugrupowania i czasem w pismach rosyjskich, w radjo rosyjsko polskiem. Przywyczajono się do tych głosów i streszcza się je w twierdzeniu, że Rząd RSRR nie uznaje Rządu R.P. w Londynie.

Jest to jednak ujęcie nieścisłe. Nie istnieje urzędowe oświadczenie Rządu ZSRR o nieuznawaniu Rządu Polskiego. Ani też Rząd ZSRR wogóle nie może zająć takiego stanowiska wobec Rządu R. P., choćby dlatego, by nie przeczyć samemu sobie.

Rząd ZSRR nie unawał rzeczywiście Rządu Polskiego w okresie od 28 września 1939, kiedy w umowie niemiecko-rosyjskiej Ribbentrop-Mołotow stanął wraz z Rządem Rzeszy na gruncie twierdzenia, że Państwo Polskie przestało istnieć, aż do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej 22 czerwca 1941.

Lecz zaraz po wybuchu wojny Rząd ZSRR wszedł w rokowania z Rządem Polskim i zawarł z nim umowę z 30 lipca 1941 w Londynie, więc go uznał. Po nawiązaniu prawidłowych stosunków dyplomatycznych, Rząd ZSRR zawarł z Rządem Polskim dalsze umowy, wojskową, pieniężną, oraz polityczną w oświadczeniu Sikorski Stalin z 4 grudnia 1941, więc go uznał i uznawał. Podpisał następnie Rząd ZSRR wraz z Rządem Polskim w zespole 26ciu państw umowę z 1 stycznia 1942 o przyjęciu Karty Atlantyckiej i o wspólnem prowadzeniu wojny, więc znowu go uznał na równi z innymi rządami Narodów Zjednoczonych w zbiorowym akcie międzynarodowym.

Nawet gdy Rząd ZSRR zrywał dnia 25 kwietnia 1943 stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim, zrywał je oczywiście z Rządem istniejącym, także według jego pojęć, a nie nieistniejącym, co innego bowiem zerwanie stosunków a co innego nieuznawanie.

Wreszcie, dnia 11 stycznia 1944, Rząd ZSRR w odpowiedzi na oświadczenie Rządu Polskiego z 6 stycznia 1944, ogłosił ,że gotów jest wejść w rokowania o granicę polsko-rosyjską, któreby przyjęły jako podstawę t. zw. linję Curzon'a, więc nadal Rząd ten uznaje, a potwierdzeniem jest przystąpienie do rokowań w Moskwie w sierpniu 1944, gdy przybyli tam z ramienia Rządu Prezes Rady Ministrów i Minister Spr. Zgr.

Uproszczone twierdzenia o nieuznawaniu Rządu Polskiego przez Rząd ZSRR są więc zawsze baałmutne i często też mętne.

Lecz to jeszcze nie koniec sprawy.

Polska i Rosja należą obecnie do zespołu Narodów Zjednoczonych. Zespół ten istnieje nietylko jako wyraz i dogodne zwięzłe określenie. Ma on również swą podstawę prawno-polityczną w akcie wspólnym podpisanym przez 26 Państw w Waszyngtonie 1go stycznia 19422.

Akt ten, po stwierdzeniu że wszystkie państwa podpisane przyjmują Kartę Atlantycką jako podstawę współdziałania, głosi:

"Każdy z Rządów zobowiązuje się do współdziałania z rządami tu podpisanemi i do niezawierania odrębnego zawieszenia broni lub pokoju z wrogami."

Czy postawa Rządu ZSRR wobec Rządu Polskiego godzi się z tem zobowiązaniem, zawartem w jedynym akcie wspólnym wszystkich Narodów Zjednoczonych.

Tu, a nie w bałamuctwach o uznawaniu lub nieuznawaniu, tkwi sedno sprawy.

W POPRZEDNIM 34 (86) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Stanisław Stroński: Potop; Kazimierz Wierzyński: Jerycho, Trzy mosty; płk. Włodzimierz Onacewicz: Piąta rocznica wojny; Kazimierz Wierzyński: Pobojowisko; Józef Miłobędzki: Nocna prośba, Poezja; Kamil Dziewanowski: Wrześniowa Szarża; Pieśni Polski Podziemnej; Jeden z "Trepów": Skorpjony walczą; Opinje i zdarzenia.

JANUSZ WEDOW

POLSKI UŚMIECH

Włochy, w lipcu

Wysoki sierżant amerykański uśmiecha się do mnie i woła. Polok? "Polok" — odkrzykuję, odrywając od ust kubek z kawą. W kawiarni jest taki szum, że absolutnie nie mogę zrozumieć co mówi do mnie dalej. Widzę jak tłumaczy coś swoim kolegom i po chwili cała amerykańska czwórka wali do mego stolika. Równocześnie z czyjejś kieszeni wychyla się pękata whisky, dzwonią szklanki, ktoś klepie mnie ciężką ręką po plecach i mówi "hallo boy", ktoś inny wciska mi do ręki "Camela" i podaje ogień — jednem słowem jestem już pod amerykańską okupacją.

—Jo tyż Polok — odzywa się wysoki sierżant i momentalnie dodaje — amerykański Polok. Tamte kolegi to Amerykany, dopełnia wyjaśniająco i uśmiecha się znowu. Ma niebieskie, bardzo niebieskie oczy, i jasne blond włosy spadające na opalone czoło. Whisky już nalana, więc pijemy pierwsze "cheerio"!

Początkowo rozmowa nie klei się. Widocznie wstydzi się rozpocząć po polsku, bo widzę, jak chce coś powiedzieć, czemś rozpocząć, ale zwleka, dodając sobie animuszu częstemi i długiemi łykami bursztynowej whisky. Rozpoczynam więc ja. Pytam skąd pochodzi ,kiedy opuścił Polskę, gdzie mieszkał i czem zajmował się w Stanach Zjednoczonych, pytam o rodzinę, jak się nazywa...

— Nazywam to ja się śmiesznie, odpowiada.

—Dziura. Wisz — tako dziura, no, wisz jako? Ale po amerykańsku, to się gada "Dżura". A na imię to mi Wojtek. Wojtek bez portek — dodaje nagle i śmieje się głośno. Koledzy jego wtórują, choć na pewno nie mają zielonego pojęcia o co nam idzie.

Wojtek mieszkał w stanie Illinois. Polski właściwie już nie pamięta. Wyemigrował do Ameryki z rodzicami i siostrą, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Wyrósł, uczył się i pracował w Ameryce. Ożenił się z Amerykanką i ma już dorastającą córkę. Pokazuje mi fotografję. Jedna z nich przedstawia ładnego, smukłego podlotka o takich samych jasnych włosach i uśmiechu, jakie ma ojciec. Wojtek, gdy mu oddają fotografję, pochyla się i patrzy na nią przez chwilę, mrużąc oczy.

— Podobna do mnie, co?

W głosie drga mu lekki, ale jakże wyraźny odcień dumy.

— Cóż — odpowiadam — wyrośnie na Amerykankę. Polska będzie dla niej daleka i obca. Będzie wiedziała o niej tyle, że urodził się tam kiedyś i przyjechał z niej ojciec a może jeszcze to, że jest biedna, mała, cicha i piękniejsza od Stanów.

Wojtek patrzy na mnie dłuższy czas, jakby nie mógł zrozumieć sensu moich słów.

— Nie — mówi wreszcie. Ona jest tyż Polką. Umie gadać po polsku. Uczyłem ją od maleńkości, najpierw pacierza, później zaś wszystko, com sam umiał i spamiętał. Może mówić, to ona tam dobrze nie mówi, ale ma... jakby ci tu rzec... ona ma duszę polską. Bo wisz, choć ja niby Amerykan, ale w duszy, w środku jestem Polok. Zawsze modlę się po polsku — dodaje już ciszej. I nagle, jakby się zawstydził swego zwierzenia i tego, że przestał być przez chwilę głośnym i szorstkim żołnierzem w mundurze amerykańskiego technical-sergeant'a, bo klepał po udzie swego sąsiada z lewej, przypominając mu, że "whisky stygnie". Potem zaczęła się już ogólna rozmowa o Polsce i Polakach. Słuchali z prawdziwym zainteresowaniem. Starałem się mówić jaknajprościej, co ułatwiał mi zresztą mój niezbyt bogaty słownik angielski. Nie mówiliśmy o polityce. To ich nie interesuje. Interesowali się natomiast poprostu — nami. Pytali się o nasze rodziny, wiadomości z kraju, o polskie wojsko. Wojtek słuchał z natężoną uwagą. Gdy zadawał mi jakieś pytanie, odpowiadałem po polsku. Wtedy zawsze nawiązywała się między nami krótko rozmowa, której treść była zrozumiała jedynie dla nas i która stwarzała między nami pewną nić cichego porozumienia i wspólnoty.

Whisky w pękatej butelce już dawno wyschła. Ktoś bąknął o odjeździe. Zamieniliśmy z Wojtkiem adresy, obiecując sobie, że będziemy od czasu do czasu pisywać. Obdarował mnie jeszcze wszystkiemi paczkami Cameli, jakie posiadała przy sobie cała czwórka i wyszliśmy na ulicę. Przy pożegnaniu, Wojtek ścisnął mi potężnie dłoń i powiedział:

— Trzymoj się chłopie. A jak będziesz w Ameryce, to przyjedź do mnie. Zobaczysz, że com gadał o córce, to szczera prawda. Tam nas jest dużo Poloków. My już som trochę inne jak wy, ale przecie Poloki!

Uśmiechnąłem się, oddając uścisk.

— Jeżeli będę w Ameryce ,to spotkamy się na pewno.

Niebieskie, uśmiechnięte oczy patrzą serdecznie i ciepło.

Kiedyś zaczepił mnie na ulicy młody, szczupły chłopak w zielonym berecie. Na ramieniu nosił wyhaftowaną Kanadę. Był bardzo zażenowany i nieśmiały. Zapytał poprostu, czy mógłbym go poznać z panią, z którą właśnie przed chwilą pożegnałem się.

— Bo widzi pan, nie rozmawiałem jeszcze nigdy z polską dziewczyną, dodał jakby na usprawiedliwienie.

Obiecałem mu, że postaram się urządzić to jeszcze tego samego wieczoru i spytałem, czy miałby ochotę porozmawiać teraz ze mną i pójść może na krótki spacer. Zgodził się bardzo chętnie na tę propozycję i ruszyliśmy przed siebie. Weszliśmy na duży miejski skwer i usiedliśmy na kamiennej ławce. Wysoka ściana kwitnących oleandrów przesłoniła nam rozwalone bombami i artylerją domy, długie kolumny przejeżdżających ciężarówek, różnojęzyczny, głośny, zielony tłum Sprzymierzonych— odgrodziła nas od rzeczywistości wojennej, otoczyła ciszą ciepłego, letniego popołudnia.

Mój znajomy był inteligentnym chłopcem i bardzo dobrze mówił po polsku. Rozmawialiśmy swobodnie i szczerze, jakbyśmy znali się już oddawna.

— Przeszło 10 lat nie widziałem Polski — ciągnął Adam — ale pamiętam ją jeszcze doskonale. Mieszkaliśmy w małem miesteczku na Podlasiu. Tam się urodziłem... i tam umarła mi matka — dodał po chwili. Szare oczy ściemniały trochę. Przetarł dłonią czoło i umilkł.

— A pan ma matkę — odezwał się niespodzianie — prawda?

— Tak, mam matkę. Została w Warszawie. Nie widziałem jej od 6 lat.... Umilikliśmy. Każdy z nas był myślami daleko od tego skweru i dekoracyjnych oleandrów. To nie było ważne, że on miał na ręku "Canada", a ja "Poland". Myśleliśmy w tamtej chwili o tem samem. O kraju, który jest moją i jego ojczyzną. Prosił potem, abym mu o nim mówił.

Opowiadałem mu o Polsce. O tej przedwojennej — rosnącej twardo ku niebu kominami COP'u i blokami białych, nowoczesnych domów, rosnącej żelazem, betonem i ludźmi, którzy mieli jej wypracować dobrobyt, siłę i wielkość. O Polsce — walącej się w gruzy pod niemieckiemi bombami, przeoranej czołgami i marszem stalowych kolumn wroga, o Polsce zabi-

janych kobiet i dzieci, o Polsce walczącej na drogach września, o Polsce bohaterskiej. Polsce Klebergów i Starzyńskich — i wreszcie o tej dzisiejszej, nieugiętej, determinackiej wierzącej w zwycięstwo, w Boga i w siebie — o Polsce Walki, o Polsce Zemsty....

Nie wiem, jak długo to trwało. Może godzinę, a może trzy. Czas odmierzały fakty, zdarzenia i ludzie.

Gdym skończył, Adam siedział pochylony, z głową opartą na dłoniach, cichy, nieruchomy. Gdy podniósł głowę, twarz dziecinna, trochę nieśmiała, miała twardy, ostry wyraz.

— Dziękuję Panu—powiedział. To jednak wspaniała rzecz — być Polakiem. Tak właśnie powiedział. W ten sposób. Dosłownie. Potem nagle uśmiechnął się. Jakoś inaczej i serdeczniej niż poprzednio.

— Czy mi pan uwierzy, gdy powiem, że można być dobrym Polakiem nawet w Kanadzie.

— Ale przecież to nie ma...

— Nie chodzi mi o to, tylko czy mi pan wierzy

— Jasne, że wierzę — odparłem mocno.

Szare oczy były pełne uśmiechu...

Niebo nad nami błękitniało coraz głębiej, coraz wyraźniej. Nodchodziła chwila, w której dzień powoli, ledwo-dostrzegalnie przesącza się w przed-zmierzch i nasiąka chłodnymi, pastelowymi kolorami. Jakiś promień zachodzącego słońca musnął oleandry i zatrzymał na nich przez chwilę ciepło odchodzącego dnia.

— A teraz może pan opowie mi jeszcze coś o Kanadzie — zaproponowałem po dłuższem milczeniu. Machnął ręką.

— Cóż ja mogę powiedzieć o Kanadzie? Ot, ogromny, bogaty kraj. Wielka przyszłość, wielkie możliwości. To nie jest mój kraj. Jestem tam, bo jestem. Tak już wyszło w życiu. Ale przywykłem już i nawet trochę go polubiłem. Ja mieszkam z ojcem na północy. Surowy, ogromny kraj. I surowi, twardzi ludzie, którzy tam siedzą. Tam życie jest pracą, tam człowiek jeszcze musi walczyć z przyrodą i tam dobrze zna się wartość pracy i życia... A kraj jest piękny. Może inaczej jak u nas, inna uroda, Surowsza, dziksza, pierwotna Ale jest piękny

— A czy Kanada naprawdę pachnie żywicą? — dorzuciłem trochę żartobliwie. Zamyślił się na sekundę.

— Tam gdzie ja mieszkam są lasy. Ogromne, rozrośnięte z horyzontu w horyzont. I wie pan — dorzucił szybko — te lasy szumią przecież tak samo jak polskie. Nie wiem, to pewnie tylko mnie i ojcu tak się wydaje, ale one naprawdę szumią nam zawsze — po polsku...



Oddziały konne 77 i 78 pułku Polskiej Armji Podziemnej (kwiecień, 1944)

Nasz Drugi Korpus we Włoszech



Król Jerzy VI w czasie wizyty na froncie włoskim odwiedził też oddziały polskie i złożył powinszowania generałowi Andersowi. Z boku Wódz Naczelny, Gen. Sosnkowski.



Ankona, której zdobycie było wielkim zwycięstwem naszego Drugiego Korpusu

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

DO ORŁA BIAŁEGO

Pamiętasz, orzełku posrebrzany,
Jak z ogniem w oczach i bezmyślnym wyrazem twarzy,
Pod groźnem spojrzeniem ciotki,
Recytowałem kiedyś
Te bardzo patriotyczne zwrotki,
— Kto ty jesteś?
— Polak mały.
— Jaki znak twój?
— Orzeł Biały.
I jak babcia mówiła wtedy, że jestem bardzo dobry,
A ja potem szedłem sobie marzyć,
Że jestem Bolesławem Chrobrym?

Nie byłeś mi wtedy kolegą,
Nie byłeś mym powszednim chlebem,
Ale jakimś podniebnym ideałem
Zawieszonym gdzieś między niebem
A ulicą Leśną w Aninie pod Warszawą,
Gdzie mieszkałem.

Od tego czasu przez tyle lat cię już noszę na czapce
Po różnych morzach i lądach.
Gdy wrócimy, opowiesz chyba drogiej babce,
Coś ze mną po świecie oglądał.

I dzisiaj, gdy łopoczesz mi na banderze,
Nie jesteś mi już strasznym upiorem,
Ni nocnym, na śmierć wiodącym widziadłem —
— Nie dlatego, że co tydzień cię piorę
W jednem wiadrze razem z prześcieradłem,
Lecz dlatego, że jesteś mi bardzo bliski,
Biały ptaku na starej banderze —
Omal, że nie jemy z jednej miski,
O stare, poczciwe zwierzę!

A kto mówi "Nie szargać świętości!"
Nie nabierze nas na swoje pułapki.
Ty i ja — jednakośmy prości,
Mój orzełku z granatowej czapki.

Nasza Polska Armja Podziemna



Oddziały 77 i 76 pułków piechoty Armji Krajowej wychodzą z kościoła po Mszy odprawionej za pomyślność podziemnego wojska



Oddziały Armji Podziemnej Polskiej prowadzą jeńców, wziętych do niewoli w czasie potyczki z Niemcami

STANISŁAW STRZETELSKI

The Essence of The Polish-Russian Problem

There are among Americans various and contradictory opinions on the essence of the Polish-Russian problem. The simplest and most frequent is that: — Soviet Russia demands that Poland create a "friendly" government and cede to her Communist neighbor the eastern half of Polish territory. In return Russia proposes recompense for Poland in the incorporation of East Prussia, Silesia and other lands lying east of the Odra, which historically and ethnographically were always Polish but which were taken by Germany at various times through conquest.

On the basis of this information, the average liberal and objective American forms an opinion along these lines: It is unfortunate that Soviet Russia seeks to solve unilaterally her territorial dispute with her smaller neighbor who has made such great sacrifices in the universal cause of freedom. However, since Russia has contributed so greatly to the defeat of Hitler and there is no question of our attempting to oppose her demands on Poland, the Poles themselves should see the necessity of reaching some kind of an agreement. They will lose the eastern provinces but they will acquire the smaller but richer western provinces. And if they bow to Stalin's will in regard to a change in government and governing officials, they will win the protective friendship of powerful Russia for the future.

This is what even the friends of Poland in America believe in all good faith. One of them was telling me a few days ago that a square kilometer of Silesia is worth 30 times more than a corresponding section of Wilno or Lwów territory. As for the demands of Russia for a Polish government "friendly" to Moscow, he cited the relationship of the United States with Argentina. "You must admit," he said to me, "that the policy of the United States is extremely liberal, and yet we are anxious that there should be no government in the Western Hemisphere with a policy too greatly opposed to our own".

This conversation opened my eyes to a fact I had not fully realized before. Even the most objective and liberal Americans do not understand the fundamental essence of the Polish Soviet dispute. Their error lies in the fact that they draw conclusions from certain apparent similarities, while in reality the two nations are absolutely and completely different.

It seems to me that it is high time to state openly and in plain words just what is at stake in the Polish-Soviet dispute. It is not only a quarrel over territories which for 600 years have belonged to Poland, and in which the Russian inhabitants do not exceed one per cent of the total population. It is not only a dispute concerning the sovereign rights of the Polish nation. It is foremost a question whether the Polish nation is to remain where it has been for the past thousand years, within the orbit of Western culture, or whether it is to be forcibly sacrificed to a completely foreign civilization and system of thought. It is not merely a political problem. It is a question whether 35 million Poles (and with them 40-70 mllion other European peoples) will be reprived now of th right to live according to the dictates of their own will based on the heritage of creative ability, labor, achievements and errors of 100 generations.

The essence of the Polish-Russian dispute lies in the question whether Poland has the right to retain her place in the family of the nations of Western civilization. All other problems, although of great importance, are secondary.

The truth is that not only Russia but also the diplomats of the other Allied governments are ready to refuse Poland this right. The concept of spheres of influence resulting from strategic and military considerations seeks to put Poland within the orbit of Soviet-Russian influences. The Polish nation is to be deported beyond the boundaries of Western civilization.

A certain journalist said to me: "I understand that it will be inconvenient, but after all the worst that can happen to the Poles will be the forcing on them of a communistic government".

Another misunderstanding. It is not a question only of social and economic changes in government. The stakes are much higher. It is a question of the very content and way of life of the individual.

Russia and Poland are not only two different nations. They are two distinctly different worlds, one the West, the other the East, each with its own culture. Not that one of them is better than the other. They are simply completely different. Long centuries and scores of generations have brought it about that the Pole lives and reacts differently, has other sources of joys and sorrows, and a completely dfferent ideal of happiness than the Russian. These things cannot be changed by moves in the direction of spheres of influence or grossraum. They can only be maintained — or destroyed.

There are numerous studies on the subject of the fundamental difference between Polish and Russian culture. I could refer to many outstanding examples and cite historical proof. I shall limit myself however to only a single example of immediate interest.

On August 1, in German-occupied Warsaw, the insurrection of the Polish Underground Army broke out. For two weeks now and for the second time in the history of this war, Warsaw, without any outside assistance, with superhuman heroism and contempt for death, has engaged the Nazi invaders in bloody battle.

The watchword of the Warsaw insurgents is contained in the Polish song, "Warszawianka" (Warsaw Hymn):

"He who conquers will be free
Already free are they who died!"

It is this insurrection that the Russian through press and radio have described as an expression of malignant anti-Soviet policy ordered by the Polish government in London and carried out by the Leaders of the Polish Underground Army.

In the Soviet interpretation tens of thousands of persons are dying merely to spite Russia.

Those who look upon this Soviet complaint as a conscious falsity are mistaken. Moscow is quite capable of believing that out of spite one may order death and others will accept it. Anyone who knows Russian history will not deny that in the country of Ivan the Terrible, in a country where tyrants and revolutionaries look upon man as a pawn in history, such a reaction is genuine.

When, during the early part of this war, the Russians called those Poles fighting Hitler in Poland, Norway and France the knaves of Anglo-American plutocracy, when they now characterize the battles of the Polish Army in Africa and Italy and the struggle of the Polish Underground ts malicious anti-Soviet manifestations they are not, subjectively speaking, guilty of a falsehood. The Russians belive what they say. Even he-

roism has a completely different aspect in the West and in Russia.

I am not an enemy of Russia. I admire the bravery of the SovietArmy and the productive achievement of the nation. But I know the law and morality, joy and sorrow, heroism and cowardice, freedom and happiness mean to the Russian something completely different than what they mean to the Pole. Russian civilization simply developed from completely different sources and roots. It did come from principles of freedom and equality of man before God, from the right of habeas corpus and those institutions which have protected Western man against the pressure of a too ravenous government. Russian civilization has its own values, but fundamentally they are the exact opposite of those values which are almost life itself to the Pole.

We face the fact that the war against totalitarianism which Poland initiated at the price of horrible sacrifices to defend her right as amember of the family of Western nations, now is about to deprive her of that right. While the appearance of independence is to be maintained, 35 million Poles are to be sentenced to banishment from the world of western civilization, transformed into so many robots in the Soviet "sphere of influence". They will be left to face the necessity of radically altering their values and customs, their culture and way of life, their very souls. As a result, the fate of Poland, and with her that of the Baltic countries, the Ukraine and perhaps even the Balkans, is to be worse than the fate of Italy and Austria.

There is no true Pole who would not wish with all sincerity for friendly relations with Russia, and who would not believe that ultimately such relations can be achieved.

But no Pole, unless a traitor, is willing to buy the friendship of Russia with the suicide of his own civilization.

That is how the Polish-Russian dispute appears to those Poles who do not wish to deceive either themselves or others.

Byron once wrote of the Holy Alliance that it was an alliance of wolves, who promised freedom to nations if they would vanquish the lion, only to take it away themselves later on. It is a question now of something worse than taking away political freedom.It is the destruction of those values in defense of which the war began and for which millions are today dying.

If some theorist, with full knowledge of the real state of affairs, should say that for the peace of humanity as a whole, it would be worth while to sacrifice the fate of 35 million persons, even within the limits of cynical calculations he would err tragically. For to subject 35 million inhabitants of Europe first to despair and disbelief, and then to nihilism, like a tribe of betrayed outcasts, would unquestionably influence decisively the fate of the entire world.

STEFAN P. MIERZWA

MÓJ OGRÓD ZWYCIĘSTWA

WRAŻENIA I REFLEKSJE

CZĘŚĆ I.

NIEUDANE EKSPERYMENTY

Niejeden mieszczuch, który słyszał albo czytał o t. zw. ogrodach zwycięstwa na przedmieściach, mógł sobie pomyśleć: Szczęśliwi ludzie ci podmieszczuchy, czy przedmieściuchy! Posadzą, posieją, kilka tygodni poczekają aż im urośnie — a potym jak Ewa w raju, chodzą sobie po ogrodzie na świeżym powietrzu i w miarę zapotrzebowań kuchennych zrywają dojrzały owoc; owoc minimalnych inwestycji kapitału, energji i potu a maksymalnych wysiłków słońca i chemicznych procesów gleby — podczas gdy oni, biedne mieszczuchy, muszą się pocić na plaży w Coney Island a po powrocie iść jakie dwa "bloki" do sklepu po jarzyny i jeszcze za nie płacić.

A ja powiadam: Błogosławieni ubodzy w doświadczenie, albowiem żyją oni w królestwie złudzeń i nigdy goryczy prawdy nie zakosztują! Miły czytelniku wielkomiejski: Tyś może nigdy w życiu motyki nie widział, możebyś nawet nie mógł odróżnić rzepy od kalarepy i pomidora od kalafiora w pierwszych stadjach ich rozwoju — ale to, co ja Ci powiem, może Cię zainteresować, bo ja mówię w imieniu dwudziestu miljonów. Moja epopea ogrodowa to epopea tego całego ogrodowo-domowego frontu. Na imię nam legjon!!

Dlaczego mówię w imieniu dwudziestu miljonów? Otóż dlatego, że przed paru laty — po Pearl Harbor — nasz rząd w Waszyngtonie rzucił hasło: "Dwadzieścia miljonów ogrodów zwycięstwa!" Po kilku czy kilkunastu latach polityki płacenia farmerom za to, żeby nie siali i nie orali — a co zasieli, musieli zaorać — przyszły nowe idee gospodarstwa agrarno-domowo-ogrodowego: kto nie sieje i nie sadzi, jadł nie będzie. Pod naciskiem tych nowych prądów "nowego ładu" niektórzy członkowie mojej rodziny (szczególnie ci wyznania żeńskiego, co są więcej uczuciowi i na piękne hasła wrażliwi) przekonali mnie, że i ja muszę sobie zafundować ogródek zwycięstwa. A nuż ten właśnie mój ogródek skompletuje żądaną liczbę 20,000,000! Ostateczny argument był ten, że całe sąsiedztwo opanowała jakaś psychoza ogrodów zwycięstwa. Kto nie "ukultywował" przynajmniej jednego pomidora w swoim ogrodzie, podejrzewany był o to, że nie pragnie zwycięstwa — a co gorsza o sympatje pro-nazistowskie czy pro-faszystowskie. By nie być czarną owcą i nie wywoływać zgorszenia, postanowiłem i ja iść z motyką na Hitlera, do rychłego zwycięstwa.

Ale zacznijmy lepiej od początku, dla lepszego zorjentowania się w tej mojej epopei ogrodowej. W życiu to tak często bywa, że człowiek ucieka od nieszczęścia a ono za nim goni; albo goni za szczęściem, a ono przed nim ucieka. Tak było z moim przyjazdem do Ameryki i wreszcie z moim ogródkiem zwycięstwa.

Znam ludzi, którzy Bogu za to dziękują, że nie pochodzą "z prostego ludu". Nie wiem jaki jest antonim "prostego ludu" — lud krzywy czy nieprostolinijny? — ale ja nie mam

wcale zamiaru taić, że właśnie z prostego ludu pochodzę: z chłopów i do tego małorolnych, gdzie w rodzinie od czasów niepamiętnych zawsze był głód ziemi. A ponieważ szczęście jest zawsze tam, gdzie nas niema, już w bardzo młodym wieku i to z pełną deliberacją i determinacją postanowiłem wyjechać do Ameryki. Nie lubiałem szczególnie trzech rzeczy w domu robić: myć statki, "strugać" ziemniaki (z pańska to się prawdopodobnie mówi: obierać kartofle), i robić w polu. Amerykanie mają pewien swoisty wyraz: "the joke is on me". Albowiem los tak zrządził, że prawie na całe moje wykształcenie w Ameryce (średnie, kolegjalne i nawet częściowo uniwersyteckie) zarabiałem właśnie myciem statków i struganiem ziemniaków w kuchni studenckiej. Wcale nie przesadzę gdy powiem, że tyle tych bulb naobierałem, że możnaby było niemi nakarmić całą armję jednego z państw sprzymierzonych np. czeską — podczas całej obecnej wojny światowej numer II.

Wreszcie jestem "panem dziedzicem", mam ogród zwycięstwa i to nie byle jaki ale "forty by fifty", 40 na 50 stóp czyli na miarę europejską 12 przez 15 metrów.

A doszedłem do tego stanu posiadania w sposób raczej skomplikowany — przy kombinacji dwóch zasadniczych metod: polityka na długą metę czyli pewnego rodzaju pięciolecie (jest to już trzecie pięciolecie) i operowanie metodą od przypadku do przypadku. Szczególnie tą ostatnią. Jeszcze w r. 1940, kiedy "na wojnę się zanosiło" po kapitulacji Fancji, żona posadziła kilka ziarnek fasoli koło płotu. Gdy fasola zeszła, zające zjadły. I to tak kompletnie, że wogóle znaku po niej nie było. A jeżeli był jakiś znak to chwasty dodusiły. Na drugi rok, nie dając za wygrane, posadziła w tym samym miejscu kilka ziarnek kukurydzy. Ledwo urosła na parę cali, przyszły jakieś gąsiennice zwane z amerkańska "cut worms" (dosłownie: ścinające robaki) i skosiły te kilka ździebeł kukurydzy tuż przy samej ziemi. Tym razem plewiłem to miejsce starannie ale kukurydzy nie było. A ponieważ działo się to na wiosnę przed Pearl Harbor, kiedy "the policy of scarcity" było jeszcze oficjalną polityką Rządu, osobiście byłem tego przekonania, że hodowanie fasoli czy kukurydzy przy swoim własnym płocie było rzeczą wysoce niepatrjotyczną; i że właśnie te gąsiennice i zające były więcej patrjotyczne. W r. 1942 czasy się zmieniły. Już można było słyszeć podszepty o ogródkach zwycięstwa. Nie miałem przeto wyrzutów sumienia, gdy żona posiała torebkę nasion ogórków i takąż samą torebkę nasion fasoli szparagowej. Ogórki się udały ale z fasolą było gorzej; czego nie zjadły zające obgryzły potem jakieś chrząszczyki. Dowiedziałem się z czasem, już po szkodzie, że to były t. zw. "Mexican bean beetles" — i że temu można było zaradzić. Można było! Mądry Polak po szkodzie....

Rok 1943 był rokiem przełomowym. Całe sąsiedztwo się mobilizowało. Kto żywy, kupował wszelkiego rodzaju narzędzia, nasiona, nawozy sztuczne. Jedni kopali własne trawniki, inni oczyszczali wolne parcele, jeżeli takowe były w pobliżu, a jeszcze inni zaorywali wspólnie niezabudowane tereny w różnych odległościach od domów. Były podobno wypadki stosowania zasady: czym dalej tym lepiej, bo można było dostać dodatkowe kupony na benzynę. A w Ameryce benzyna ("gazolina") to grunt! Różne kluby, t. z. "Victory Garden Clubs", powstawały jak grzyby po deszczu. Płaciło się tylko po dolarze od rodziny. Miały z tego wyniknąć jakieś wielkie choć ściśle nieokreślone korzyści — np. nagrody za nader udane poszczególne jarzyny czy za całość ogrodu. Bez mojej wiedzy i nie koniecznie ku mojej nieopisanej radości, żona również wpłaciła dolara i zapisała mnie na członka "Longview Victory Garden Club". W takiej atmosferze i w takich warunkach — szczególnie wobec jednomyślnej uchwały całej dynastji rodzinnej, oczywiście bez udziału niżej podpisanego — nie można było sobie pozwolić na jakiś indywidualizm. Musiał być ogród zwycięstwa i to na odpowiednią skalę: przynajmniej tyle jarzyn jak na wigilję "w starym kraju".

Za tego mojego (a raczej żony) dolara, łącznie z innemi dolarami członków klubu, Longview Victory Garden Club postarał się o to, że leżące odłogiem od niepamiętnych czasów pole, na górze o jakie 500 kroków od domu, zostało rzekomo zaorane i zabronowane. Wreszcie nastąpił podział na parcele. Każdy członek klubu mógł wziąść tak dużą parcelę jak tylko chciał — z tym jednak zastrzeżeniem, że musiał się zgodzić, całą zasiać, zasadzić, obrobić i wreszcie cały plon zebrać, żeby daru Bożego nie marnować. Idealne warunki! Ten ostatni warunek szczególnie trafiał mi do przekonania.... Wylazła ze mnie — jak to przysłowiowe szydło z worka — odziedziczona po przodkach moich, po tych prostych ludziach co zawsze za mało "gruntu" mieli, żądza dużej parceli. Mojej ambicji zadość się stało. Wprawdzie miałem obok domu swą własną parcelę, ale była ona za mała, pozatym ciągle tam było mokro (od wielu lat starałem się ją osuszyć odpowiedniem drenowaniem i podniesieniem terenu — tu własnie leży koncepcja trzeciego pięciolecia.)

Jakiś mądrala — taki "spec" od spraw agrarno-ogrodniczych, przy biurku — powiedział, względnie pisał w "naukowej literaturze przedmiotu", że tam gdzie rosną chwasty ("weeds") jarzyny też będą rosły. Chciałbym się z nim spotkać, gdzieś w lasku, po zachodzie słońca, żeby mu to wyperswadować. Więcej zbliżone do prawdy byłoby gdyby powiedział, że tam gdzie rosną jarzyny, zawsze i wszędzie rosną chwasty, zaś tam gdzie rosną chwaty, co do jarzyn to na dwoje babka wróżyła.

Ten idealny ogród na górce, ten kołchoz kapitalistyczny na małą skalę, okazał się jak amerykanie mają zwyczaj mówić — "a big headache". Wierzchnia część ziemi na jakie 10 do 15 cali, była okuta w korzenie gigantycznych chwastów i dzikich krzewow. Rosła tam obficie trawa t. zlw. "buffalo graszz" — coś w rodzaju słomki jaką dawniej w Polsce wkładano do flaszek z napojem zwanym żubrówką. Nie wiem czy samą tę słomę można nazwać żubrówką. W każdym razie ma ona swe właściwe cele i przeznaczenie. Najmniej jednak nadaje się do ogrodu zwycięstwa... — Każdą piędź ziemi trzeba było kilofem rozbijać i rękami rozdzierać by ją od tych korzeni uwolnić. Nawet mechaniczny pług, pociągany traktorem i mechaniczne brony nie mogły podołać. Po paru tgodniach wysiłków czworga członków całej zmobilizowanej dynastji Mierzwów — przy akompaniamencie churchillowskich "blood, tears and sweat"—udało się zaledwie oczyścić taką parcelę jaką możnaby nakryć prześcieradłem względnie obrusem. Jeżel była jakaś gleba nadająca się pod uprawę jarzyn, wyrzucona była z korzeniami. Pozostała tylko twarda jak kamień ziemia, przeplatana gliną i kamieniami.

Ale od czego głowa na karku? — pomyślałem sobie. Od czego planowa gospodarka czyli tayloryzm w rolnictwie? Posadziłem rosadę i posiałem ziarna różnych jarzyn aż w dwóch ogrodach: na własnej dolnej mokrej parceli i na tej górnej, kołchozowej, gdzie słońce prażyło cały dzień i wszystko winno rość jak na drożdżach. W razie posuchy, myślę sobie, dolny ogród wyda obfity plon; a w razie mokrego lata, górny wszystko nadrobi. Tak to wszystko było obmyślone teoretycznie. Nie wiedząc dokładnie ile dać sztucznego nawozu, trzymałem się zasady: od przybytku głowa nie boli. Dałem dużo. Tak prawdę powiedziawszy, za dużo. Na fasolę tykową powbijałem takie tyki jak na chmiel. Spodziewałem się, że wyrośnie odpowiednio do życzeń,

ilości sztucznego nawozu i wysokości tyk. Rezultat tej planowej i naukowej gospodarki był następujący: wiosna była mokra i prawie wszystko za wyjątkiem pomidorów, na dolnym ogrodzie zgniło. Następnie lato było suche i prawie wszystko za wyjątkiem paru roślin i pomidorów wyschło. Nadmiar sztucznego nawozu pomógł tylko korzenie spalić. Różne owady resztę dokończyły. Nawiasem dodam, że w Ameryce pomidory rosną jak ta przysłowiowa wierzba polska — gdziekolwiek, w jakiejkolwiek ziemi, w błocie, glinie, czy piasku.

Pewnego dnia, w sezonie teoretycznych żniw, żona mówi do mnie:— "Wiesz ty co? Mnie się tak zdaje, że ty tego ogrodku zwycięstwa nie bierzesz na serjo. Coś jest nie w porządku. Innym się to lub owo udało, a Tobie nic. Kompletnie nic. Prawie kompletnie nic, bo co do pomidorów, to one same urosły — bez żadnego planowania. Sama gdzieś czytałam, że tam gdzie chwasty rosną powinny i jarzyny rosnąć. A przecież chwastów było dosyć. Możebyś tak był z motyką częściej do ogrodu zaglądnął, a może czasami wodą polał. A może jednak coś jest na te owady, co jedne rośliny przy ziemi ścinają a później na innych liście zjadają."

Powiedziałem jej co myślę o tych biurowych specach od chwastów, tłómacząc jednocześnie, że trudno jest wodę na 500 kroków nosić. Nie mogłem jednak odmówić jej słuszności w przypuszczeniach, że jeszcze nie brałem tego wszystkiego na serje.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ZOFJA BOHDANOWICZOWA

DRZEWA OJCZYSTE

Owiane gwiazdami i mrokiem, chłodne od rosy przejrzystej,
Zjawiacie mi się nocami, o drzewa moje ojczyste;
Nad snem moim szumicie zielono, cieniem się kładziecie na głowie,
Szepczecie do mnie kojąco w znajomej mowie.
Splecione, splątane, pogięte, niebosiężne wiązy z Kielmiei
Żywe stoicie przede mną i wiatr polny nad wami wieje
I przesiewa blaski przez liście i złociste migoty stwarza
Na ubogich, mchem porosłych mogiłkach cmentarza.
Czarne, srebrem znaczone świerki z Porubańskiego lasu
Opuszczają kolczaste ramiona nad traw połyskliwym atłasem,
Otulają, osłaniają mię czule, odgradzają od świata ogromu,
Zamykają mię bezpiecznie i słodko w żywicznym domu.
Dęby z Ponar metalicznie dzwonią w majowej ciszy wieczora
I kołysze się nademną perliście ich gęstwiny słowiczy chorał;
A jabłoń, co przy mym ganku zakwitała na wiosnę różowo,
Sypie płatki lotne, blade, pachnące nad moją głową.
Do pni, mocnych tulę się we śnie, liściem czoło gorące chłodzę,
I przeczuwam, że te drzewa wracające nie z Polski do mnie
przychodzą,
Że nie żywym są kształtem, nie materją, w której sok żyworodny
kołata,
Lecz duchami, co mię nawiedzają z tamtego świata...
I przeczuwam, że już dawno legły pod piłami, toporami wroga
Po gajach, po lasach, po sadach, po szerokich traktach i drogach,
Że już cień ich nie gości ptaków śmigających w świergotliwym
gwarze,
Tylko świecą poręby jak świeże cmentarze.
I przeczuwam, że kiedy bezdomna i tęskniąca za niemi umrę,
To nie z desek sosnowych czy dębowych dobrzy ludzie
zrobią mi trumnę
I nie złożą w cieniu wiązów kielmiejskich przy łąk równinie,
Lecz owiną mię w ca łun nędzarzy, zasypią żwirem pustyni
Wtedy Bóg przyjdzie do mnie, obejmie mię gwiaździstem
ramieniem miłości
I powiedzie między te drzewa, odkwitające w wieczności
I zbawiona ich szumem jak modlitwą, uzdrowiona ich cieniem
jak łaską,
Pójdę po bladym, usianym złotemi plamkami piasku

PROSIMY O JEDNANIE NAM NOWYCH PRENUMERATORÓW

OPINJE I ZDARZENIA

OJCIEC ŚWIĘTY O POLSCE



Depesze z Rzymu o rozmowach Ojca Świętego z Churchillem mówią o wypadku pierwszorzędnej wagi, o wydarzeniu dyplomatycznem niezwykłej dla nas doniosłości. Nie chodzi tu bowiem tylko o akt moralny, o uznanie przez Głowę Kościoła tragicznego prymatu naszego narodu w bohaterstwie i męczeństwie; Papież nie przemówił tu tylko jako władca dusz i potęga moralna.

To co Pius XII powiedział Churchillowi o granicach Polski świadczy, że Watykan zdaje sobie wpełni sprawę ze znaczenia Polski naprawdę niepodległej i naprawdę silnej dla katolicyzmu, co więcej poprostu dla zachowania chrześcijaństwa w Europie. Obawa, że pomiędzy bezwyznaniową (mimo odbudowy Synodu) Rosją i spoganizowanemi przez Hitlera Niemcami zbraknie tak tradycyjnej, tak potężnej, tak niezawodnej siły chrześcijańskiej jak Polska — kazała niewątpliwie Piusowi XII odnieść się do sprawy granic wschodnich Polski jako do jednego z naczelnych problemów, które decydować będą zarówno o politycznem jak i o duchowem obliczu Europy i kazała mu wobec tego problemu zająć zdecydowane stanowisko. Kto wie jak wielką rolę Pius XII odegrał w politycznych wydarzeniach na południu Europy, które zdecydowały o zwycięstwie Aljantów, kto zna stosunek do niego prezydenta Roosevelta, kto wie jak niezwykłą postacią jest obecny Papież właśnie jako polityk — ten zrozumie że jego deklaracja w sprawie polskiej jest czynnikiem, mogącym mieć dla nas bardzo realne następstwa. Jeśli chodzi o stronę polityczną sprawy polskiej — rozmowa Piusa XII z Churchillem jest od bardzo dawna pierwszem dla nas pomyślnem wydarzeniem.

MILCZENIE O WARSZAWIE

Od paru dni komunikaty gen. Bora znikły niemal z łamów prasy amerykańskiej. Znikły w chwili gdy armja ta dokonuje nadludzkiego wysiłku, kiedy cała ludność Warszawy walczy o wolność, kiedy Niemcy mordują bestjalsko w Pruszkowie tysiące polskich kobiet i dzieci. Warszawa walczy jak żadne miasto nie walczyło w tej wojnie, niszczona jest straszliwiej niż w r. 1939, skazana jest na jeszcze okrutniejszą samotność i pozbawiona jest tego, nawet, aby świat wiedział o jej losie; aby do tego sumienia dotarła świadomość tego bezprzykładnego bohaterstwa i aby poruszyła to sumienie.

Mamy w New Yorku organy urzędowe powołane do tego aby czuwały nad stosunkiem prasy amerykańskiej do Polski, aby według najlepszej swej możności na ten stosunek wpływały.

Wiemy, że nie jest to łatwe, ale musi tu być zrobione wszystko, co możliwe. Dlatego notujemy bolesne i najsłuszniejsze wyrzuty, które ze wszystkich stron słyszymy. Kierujemy do tych urzędów głosy domagające się przerwania milczenia o największem bohaterstwie w tej wojnie.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO KRZYŻA

Komunikaty polskiej Armji Podziemnej, walczącej w Warszawie, podają jako miejsce zaciekłych walk kościół Świętego Krzyża. Kościół ten jeden z największych w Warszawie, położony w samem centrum miasta był jedną z najbardziej popularnych i ukochanych budowli stolicy a figura Chrystusa zdobiąca jego fronton była przedmiotem szczególnego kultu Warszawian. W ścianie kościoła Św. Krzyża wmurowana była puszka z sercem Chopina.

POLACY WE FRANCJI

W zdobywaniu Annecy wzięły udział polskie oddziały i jak donoszą komunikaty Polacy byli witani entuzjastycznie przez ludność oswobodzonego miasta.

CZY ROSJA WZYWAŁA WARSZAWĘ DO POWSTANIA

Znany organ liberałów brytyjskich, "The Manchester Guardian" ogłasza w swoim numerze z dn. 22go b. m. artykuł zatytułowany "Rising in Warsaw — The Question of Responsibility"; wykazujący na objektywnej podstawie rzeczowych dowodów że z Moskwy wzywano Warszawę do powstania.

"Sytuacja w Warszawie staje się, istotnie, niezmiernie ciężka dla Polaków . . . Tłomaczono wielokrotnie, że nie sposób jest zorganizować dostawy należytej pomocy Warszawie, ponieważ walka wybuchła spontanicznie i, w każdym razie, nie została ona uzgodniona w sensie czasu, z rosyjskimi planami wojskowymi. Tego rodzaju tłomaczenie musi wydać się dziwne, zważywszy na systematyczne wezwania do zbrojnego oporu, nadawane z Rosji przez polską radjostację "Kościuszko" o wiele wcześniej już a nawet podczas pierwszego okresu walk w Warszawie. Trudno jest przepuścić, by apele te mogły ujść uwagi aljanckich czynników wojskowch. Niektóre fragmenta tych apelów radjowych są znamienne nietylko pod względem politycznym ale i pod wyrazem czasu ich nadawania. A więc:

"2 Czerwca — "Zbrojny opór rzesz chłopskich w okręgu lubelskim odegrał wydatną rolę we wzroście walk, prowadzonych przez partyzantów i szerzących się od jednej wsi do drugiej, od jednej części kraju do drugiej. Ten zbrojny opór ocalił dziesiątki tysięcy ludzi od śmierci i zadał ciężkie straty Niemcom. Te walki dowiodły, iż masowy opór zbrojny jest możliwy i że straty ponoszone wówczas są mniejsze aniżeli bierne poddanie się terrorowi nieprzyjacielskiemu. Dziś nikt już nie ośmieli się powiedzieć, że Polacy są szaleńcami..."

15 czerwca — Z chwilą, kiedy rozpoczęła się inwazja, wzmogła się żądza walki w szeregach Armji Krajowej. Panuje ogólne przekonanie, iż nadszedł czas przejścia do czynów. Daje się odczuwać wielkie niezadowolenie z powodu rozkazów generała Sosnkowskiego i generała Bora.

28 lipca (emisja nadana przez Związek Patrjotów Polskich w Moskwie) — "Apel do Warszawy! Wystąpcie do walki z Niemcami! Nie ulega już wątpliwości, że Warszawa bliska jest zasięgu armat i że bitwa ta wkrótce przyniesie wam wolność. Ci, którzy nigdy nie ugięli karku przed hitlerowską potęgą, znów podejmą, jak w 1939 oku, walkę przeciw Niem-

com, przejdą do rozstrzygającej tym razem akcji. Armja Polska, wyćwiczona w Rosji a która obecnie wkroczyła na Polskie terytorjum, połączyła się z Armją Ludową, tworząc Korpus Polskich Sił Zbrojnych — narodową armję walczącą o niepodległość Kraju. Jutro synowie Warszawy wstąpią w jej szeregi. Łącznie z armjami aljanckiemi przepędzą oni wroga na zachód, oczyszczą Polską ziemię z hitlerowskiego robactwa i zadadzą śmiertelny cios bestjalskiemu imperjalizmowi pruskiemu. Dla Warszawy, która nigdy się nie ukorzyła, lecz walczyła, godzina czynu już wybiła. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy będą próbowali bronić się w Warszawie. Tembardziej więc należy o tem pamiętać, że w nawale hitlerowskiej akcji destrukcyjnej wszystko zostanie stracone, czego nie zdoła uratować nasz wysiłek. Dlatego też nasza bezpośrednia, wytężona walka na ulicach Warszawy, w każdym domu, w każdej fabryce, w każdym sklepie nietylko przyśpieszy chwilę ostatecznego wyzwolenia ale również i ocali majątek narodowi i życia braci naszych..."

30 lipca — "Warszawa trzęsie się od huku dział. Armje sowieckie posunęły się naprzód i znajdują się blisko Pragi. Przychodzą one do nas, by dać nam wolność. Przychodzą one do nas by dać nam wyzwolenie nasze. Kiedy Niemcy zostaną wyparci z Pragi, będą oni usiłowali utrzymać się w Warszawie i będą wówczas starali się wszystko zniszczyć. W Białymstoku grabili oni przez sześć dni a wymordowali tysiące naszych braci. Musimy uczynić wszystko, co jest w naszej mocy, by zapobiec powtórzenia się takich okropieństw w Warszawie. Ludu Warszawy — do broni! Cała ludność powinna skupić się wokół Armji Podziemnej. Hejże na Niemca! Niemcy niszczą gmachy publiczne. — Okażcie pomoc Czerwonej Armji przy przechodzeniu Wisły. Udzielcie im wiadomości o najlepszych miejscach do przechodzenia wbród i wskażcie im te miejsca. Ponad miljon mieszkańców Warszawy powinno chwycić za broń i stworzyć armję miljonową dla walki o wolność i o wytępienie najeźdźców niemieckich..."



Fotografja z Warszawy z przed paru miesięcy. Młoda para jedzie rykszą do ślubu.

"MONTE CASSINO TO NIE SAMOSIERRA"

Artykuł pod tym tytułem, który zamieszczamy w dzisiejszm numerze ukazał się w znakomicie redagowanym organie Armji Polskiej we Włoszech w "Orle Białym". Pismo to jest napewno w tej chwili najświetniejszym wyrazem polskiej myśli politycznej, tem niezwykłym, że myśl ta poparta jest czynami takiemi jak zdobycie Monte Cassino i Ankony, że znakomici publicyści "Białego Orła" są jednocześnie uczestnikami najbardziej zaciekłych walk, toczonych przez wojsko polskie. Drugi Korpus Polski jest w tej chwili niejako ramieniem i mieczem Polski, ale jak czytelnicy nasi z pomieszczonego dziś przedruku będą mogli się przekonać, jest on też myślą twórczą, zdrową, odważną, głęboką, jest zbiorowiskiem mózgów, widzących jasno nietylko cele Polski ale idące do niej drogi. Ze zezwoleniem bratniej redakcji "Białego Orła" będziemy nieraz powoływali się na niego, przekonani, że w ten sposób zbliżamy naszych czytelników do źródeł najzdrowszej polskiej myśli i najbardziej świadomego czynu.

KSIĄŻKA LEDNICKIEGO

Nakładem "Roju" ukaże się w październiku książka Wacława Lednickiego pt. "Life and Culture of Poland", zawierająca szereg studjów i esejów świetnego naszego uczonego na tematy związane z historją polską. — Zaproszony w zeszłym roku (najwyższe wyróżnienie jakie spotkać może uczonego w Ameryce) do wygłoszenia serji odczytów o kulturze polskiej w sławnym Lowell Institute w Bostonie — Wacław Lednicki wypowiedział serję wykładów, które obecnie ukazują się w książce, Powitać ją należy jako niezwykle cenny wkład do dzieła uświadomienia Ameryki o Polsce.

"WARSZAWIANKA"

Nasi aktorzy zabierają się podobno w tych dniach do roboty i przygotowują wieczór artystyczny, którego premjera odbędzie się za miesiąc. Głównym punktem programu będzie tak tragicznie aktualna "Warszawianka" Wyspiańskiego.

Podobno Modzelewska ma grać Marję, Nakoneczna — Annę, Modzelewski — Chłopickiego, Wiarusa — Krzemieński, a oficera — młody aktor polsko amerykański Witanowski.

"WIĘŹNIARKA" MAJDANEK-OŚWIĘCIM

Nazywa się to "więźniarka". Wagon towarowy, podzielony mocnym przepierzeniem na dwie części. W jednej, większej, mieszczą się transportowani więźniowie, w drugiej wygodnie podróżuje konwój, rekrutujący się z S. D., najkrwawszych gestapowskich kanali. Wewnętrzne drzwi z przedziału konwojentów do więźniów, zamykane są na dwie zasuwy i tęgi zamek. Wyjście dla więźniów tylko przez przedział konwoju. Dwa małe okienka na użytek eskorty. Więźniom światło i powietrze — zbędne.

"Więźniarka" — jeden z wyczynów katowskiej pomysłowości niemieckiej dwudziestego wieku. Bezpieczeństwo pełne.

Do takiego wehikułu załadowano 19 maja 1943 r. w Lublinie 49 więźniów politycznych z Majdanka. I doczepiono ten wagon do składu pociągu

idącego z Chełma do Warzawy. Przeznaczenie — via Warszawa — do oświęcimskiej mordowni.

* * *

Gdy noc zapadła, na małej stacyjce Celestynów na linii lubelsko-warszawskiej, na której to trasie już setki tysięcy męczenników wędrowało niewinnie na swą kalwarję, zjawiło się [illegible] młodych ludzi. Czekali — jak garstka turystów — na pociąg do Warszawy. Ale zamiary mieli zgoła inne.

Przed budynkiem stacyjnym na pierwszym torze stały lory towarówki z piaskiem, dwa dalsze tory były puste. Na ten trzeci najdalszy miał nadejść oczekiwany pociąg.

Przeszło 3 godziny spóźniony! — Przez 3 przeszło godziny w cieniu drzew i krzewów dokoła stacji czekało kilkudziesięciu ludzi, nieruchomo leżących, dygocących z zimna i nasłuchujących gwizdu pociągu... Ale tylko wicher gwizdał w igliwiu sosen.

Postój pociągu miał trwać 3 minuty. Nieliczni pasażerowie wsiedli lub wysiedli — za chwilę odjazd. Pan zawiadowca podniósł latarnię do góry prawą ręką. Potem — nagle podniósł i lewą rękę. I tak z wyciągniętymi ramionami, szybko wycofał się z peronu. Towarzyszyli mu dwaj ludzie, których pistolety poczuł na plecach.

Postój przedłużył się do 40 — niezmiernie hałaśliwych — minut.

* * *

Zaledwie pociąg stanął, uchyliły się zewnętrzne drzwi "więźniarki". W strudze światła zeskoczył na tor jeden z konwojentów. Natknął się na kogoś stojącego na schodkach. Strzał. Podobny do trześnięcia drzwiczkami wagonu. Nikt z podróżnych nie zwrócił na to uwagi. Ale konwój zorientował się odrazu. Uchylone drzwi więźniarki zatrzaśnięto, zaryglowano od zewnątrz.

Wtedy do środka przedziału S. D. wpadł przez okienko granat. Huk i kurz, jęk i wrzask. Gruchnęła wzdłuż pociągu salwa z rkm Tysiące ech poszło po nocy, po lesie.

* * *

Cztery niemieckie wagony pośrodku pociągu zbudziły się odrazu. Opadły okna, wychyliły się lufy, wszczęła się bezładna strzelanina jak ulewny deszcz. Na stacji odpowiedziały 4 pistolety maszynowe i kule zadźwięczały na szybach pociągu. Bahnschutze skupieni w wagonie służbowym za tendrem zabarykadowali się co tchu Nie sposób ich wykurzyć. Zato u stopni lokomotywy leży zabity niemiecki kierownik pociągu.— Obsługa parowozu steroryzowana, obezwładniona. Pociąg nie ruszy.

* * *

Oblężenie "więźniarki" skończone. Drugi granat rzucony w przeciwległe okienko zrobił swoje. Drzwi wywalone wybuchem rozleciały się w drzazgi. Dwóch żywych jeszcze konwojentów padło od kul obok pierwszego zabitego. Czwarty rozerwany przez granat leżał na podłodze. Ale dostęp do więźniów niemożliwy, zasuwy i zamek trzymają mocno. Walą więc łomy w wewnętrzne drzwi. Zbudzeni ze snu więźniowie ubierają się coprędzej.

—Niech żyje wolność.. — krzyczą na widok wpadającej odsieczy. Przez rozwalone deski, przez trupy niemców, przez burzę wystrzałów — wypadają na tor. Nareszcie wolni! — Wśród swoich!

Za stacją czekają w mroku samochody. Tam na torze strzelanina trwa jeszcze. Przewala się echami.. Tu, spokój Niema co się spieszyć. Połączenie telefoniczne zerwane. Najbliższy posterunek żandarmerji o 6 km., zapewne — jak w takich razach bywa — zabarykadowany. — Wreszcie pociąg przestał się bronić Od parowozu niosą dwóch rannych. Dwa auta. Odjazd.

Humor Polski Podziemnej

NA ŁONIE NATURY

— Co mówią na świecie — pyta się Hitler adjutanta — na temat kto wywołał wojnę?

— Zle fuehrerze, wszyscy mówią, że my, że można było jej uniknąć tylko ty nie chciałeś.

— Co za krzwdząca niesprawiedliwość — zawołał Hitler. Poco mi takie bzdury powtarzać — to wyprowadza mnie z równowagi. Muszę przejść się. Tylko w obliczu natury. czyję się szczęśliwy.

Hitler spaceruje. Na łące zobaczył kozła.

— Kto wszczął wojnę? powiedz koziołku!

Bee....eek, beee....ek.

— A co nie miałem rację, zawsze tak mówiłem — pomylał Hitler i już z dobrym humorem poszedł dalej.

— Na przydrożnej topoli siedział kruk.

— Powiedz mi kruku kiedy się skończy wojna?

Kruk zawołał: — za rrok, za rrok, za rrok.

— To dobrze — pomyślał Hitler— rok jeszcze napewno wytrzymam.

Nareszcie siada wróbel i wesoło ćwierka.

— A kto zwycięży? — powiedz-mi — pyta się Hitler.

Czer-czill, czer-czill, czer-czill.

CHOCIAŻ

Na słupach ogłoszeniowych i murach widniały napisy:

Chociaż z futer macie gacie
Jednak wojny nie wygracie.

KUPUJCIE
NUMER WARSZAWSKI "TYGODNIKA POLSKIEGO"